

AHNHEM

STEFAN

OSIEMNAŚCIE
STOPNI PONIŻEJ
ZERA

Ahnhem ma rzadki dar opowiadania oryginalnych i brawurowych historii, nie gubiąc przy tym znaków rozpoznawczych skandynawskiego kryminału.

MARIUSZ CZUBAJ

MARGINESY



A STEFAN **INHEM**

OSIEMNAŚCIE
STOPNI PONIŻEJ
ZERA

Przełożyła
EWA WOJCIECHOWSKA

MARGINESY

Prolog

28 października 2010

Taksówka zatrzymała się przed budynkiem chwilę po północy. Dwa banknoty pięćsetkoronowe zmieniły właściciela i mężczyzna wysiadł z samochodu, nie czekając na resztę. Przenikliwy lodowaty wiatr napierał od strony pogrążonej w gęstym mroku cieśniny Kattegat. Wiało tak mocno, że mężczyzna czuł na twarzy kropelki słonych fal rozbijających się o oddalony o czterdzieści metrów, niewidoczny w mroku pirs.

W dodatku warstewka lodu pod podeszwami jego butów świadczyła, że temperatura spadła poniżej zera. Dlatego obszedł taksówkę, otworzył tylne drzwi po drugiej stronie i pomógł wysiąść swojej towarzyszce. Nie chciał, żeby się wywróciła na niebotycznie wysokich obcasach.

„Jeszcze tylko trzydzieści metrów” – pomyślał, zamykając za nią drzwi. Zaledwie chwila, podczas której musiał udawać miłego i zapewniać dziewczynie poczucie bezpieczeństwa, ale nie przesadnie, żeby nie zdradzić zniecierpliwienia. Miała być do końca przekonana, że pójście z nim do jego domu było wyłącznie jej decyzją.

Zadrzała z zimna, prawą dłonią ścisnęła pod szyją krótki kożuszek i pozwoliwszy się wziąć za lewą rękę, dała się poprowadzić do domu. Uznał to za dobry znak, zwłaszcza po tak trudnej dla siebie kolacji. Musiał użyć wszystkich swoich sztuczek, żeby nie zdołała go przejrzeć, dostrzec szczeliny w jego nieszczerym uśmiechu, i nie odeszła od stołu.

Spotkali się w Grand Hôtel Mölle, zgodnie z planem. Czekwała na skórzanej kanapie w hotelowym lobby. Trzymała w dłoni kieliszek, a długie nogi skrzyżowała w atrakcyjnej pozie. Uderzyła go myśl, że wygląda wręcz identycznie jak na fotografii, którą wcześniej widział. Miała takie same ciemne, króciutkie jak u chłopca włosy, usta umalowane ciemnoczerwoną szminką i wystające kości policzkowe. Nawet jej cera, którą wcześniej brał za wyretuszowaną w programie komputerowym, wyglądała, jakby nigdy nie wystawiono jej na działanie niszczycielskich promieni słońca.

Arton grader minus

COPYRIGHT © Stefan Ahnhem 2016

Published in agreement with Salomonsson Agency, Sweden
and Book/lab Literary Agency, Poland.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Wojciechowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2017

W życiu nie doświadczył czegoś podobnego. Dotychczas rzeczywistość zawsze przynosiła rozczarowanie i mógł jedynie się zastanawiać, jak duże spotka go tym razem. Zwykle oznaczało pryszczatą cerę, niewyregulowane brwi i wałeczki tłuszczu wokół pasa, nie zawsze dające się ukryć pod luźnym ubraniem. Czasem różnica między zdjęciem a rzeczywistością była tak ogromna, że odwracał się na pięcie i uciekał zaraz po przywitaniu.

Jednak tego wieczoru to on musiał walczyć o uznanie. Idąc teraz po wyłożonej kamieniami ścieżce oświetlonej włączającymi się automatycznie lampami, pomyślał, że jeśli może zaoferować jej coś wyjątkowego, z pewnością jest to dobra zabawa. Tak dobra, że zdoła utrzymać przy sobie tę kobietę co najmniej przez tydzień. Jednak najpierw musiał zyskać pewność, bo bez niej nie mógł zrobić nic. Dlatego zatrzymał się w miejscu, gdzie światło było najsilniejsze i kamera monitoringu widziała najwięcej, po czym odwrócił się i spojrzał na swoją towarzyszkę.

Zajrzała mu w oczy, a on przycisnął usta do jej ust. Nie musiało odwzajemnić pocałunku. Wystarczyło, że się nie opierała. Nie oddechnęła go ani nie wymierzyła mu policzka, więc zyskał dowód, że przyszła tu z własnej woli i wszystkie późniejsze oskarżenia zostaną uznane za próbę wyłudzenia od niego pieniędzy. Jeszcze chwila i będzie mógł zrobić z nią, co mu się żywnie podoba.

W przedpokoju odebrał od niej kożuszek i gestem dłoni zaprosił ją do środka. Podobnie jak większość kobiet, które tu przyprowadzał, również ona nie potrafiła ukryć zachwytu nad domem. Czekający na nich ogień w kominku i designerskie meble na specjalne zamówienie. W porównaniu z tym, co dekorowało ściany, każda wystawa w Centrum Kultury Dunker w sercu Helsingborga wyglądała jak zbiór malowanek z przedszkola.

Zaproponował zejście na drinka do baru w salonie na dole, zapewniając przy tym, że nikt nie robi tak dobrego mojito jak on. Rozpromieniła się i poszła za nim do sutereny. Nie mógł się nadziwić, jak łatwo sprawy układają się po jego myśli w porównaniu z trudnym początkiem. Przepuścił ją przodem i podążył za nią wyłożonym białymi kafelkami korytarzem. Minęli drzwi do spa, kazał jej iść dalej,

minąć wbudowany w ścianę po lewej stronie regał z książkami, aż do miejsca, w którym korytarz skręcał w prawo.

Wykonała jego polecenie, ale kiedy znaleźli się w pokoju bez okien, odwróciła się ze zdziwioną miną, taką samą, jaką widział u każdej kobiety, która trafiła tu przed nią. Wszystkie pytały, gdzie jest obiektyw bar.

Zamiast baru w pomieszczeniu stało szerokie łóżko z czterema metalowymi obręczami przymocowanymi w rogach na skórzanych paskach. Do obręczy przytwierdzono końcówki stalowych lin biegnących po podłodze i po ścianach, a dalej naciągniętych na bębny przekładni zębatych. Instalację pomalowano na biało, żeby uczynić ją jak najmniej widoczną na tle ścian w tym samym kolorze.

Cios, który jej wymierzył, okazał się nieco silniejszy, niż zaplanował. Nie chciał uszkodzić jej ślicznej twarzy. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Zachwiała się i upadła tyłem na łóżko. Mocując obręcz wokół jej nadgarstka, kątem oka dostrzegł, że z nosa pociekła jej krew. Kobieta była zbyt otumaniona, by stawiać opór, dlatego po krótkiej chwili przywiązał jej ręce i nogi. Teraz mógł bez wysiłku ustawić ją w odpowiedniej pozycji.

Spodziewał się, że podobnie jak inne będzie tracić energię na próby wyswobodzenia się z więzów, ale ona leżała bezwładnie z rozłożonymi rękami i nogami i patrzyła na niego w milczeniu. Jakby prosiła go bez słów, by obszedł się z nią szczególnie brutalnie. Dlaczego miałby ją rozczarować?

Podszedł do ściany i otworzył szafę z zabawkami gromadzonymi od paru lat, wyjął nożyce do ubrań i nowo zakupioną silikonową piłeczkę do kneblowania. Wepchnął ją dziewczynie do ust i zamocował paski wokół jej głowy. Wciąż nie stawiała oporu. Przemknęło mu przez myśl, że to zbyt piękne, by było prawdziwe. Z drugiej strony postrzegał opór swoich ofiar jako istotny dodatek do tego, by zabawa stała się całością.

Rozciął jej ubranie, stanął nad nią okrakiem na łóżku i spojrzał w dół na jej nagie ciało. Było szczupłe i wysportowane, trochę za chude jak na jego gust. Wąskie biodra i krótka fryzura zbyt przypominały młodego chłopca. Mięśnie brzucha i klatka piersiowa unosiły

się w rytm oddechu. „Uzależniona od treningu fizycznego” – stwierdził w myślach. Miałyby piersi większe o co najmniej dwa rozmiary, gdyby nie zrujnowała ich nadmiernymi ćwiczeniami. Za to podobały mu się jej ramiona. Tricepsy i bicepsy miały linię niemal idealną. No i cipka. Lubił wydepilowane dziewczyny, a u tej nie było nawet śladu włoska.

Jeszcze raz omiół spojrzeniem jej ciało, aż napotkał jej wzrok. Nagle poczuł zmieszanie. Kobieta znajdowała się pod jego całkowitą kontrolą i nie miała pojęcia, co ją czeka, a mimo to w jej oczach dostrzegł wyłącznie spokój. Widocznie dawał jej to, czego chciała. Nie mogło być inaczej. Splunął jej w twarz. Plwocina trafiła ją w policzek i wolno spłynęła na szyję. Wciąż żadnej reakcji. Usiadł na niej okrakiem, chwycił kciukiem i palcem wskazującym prawy sutek i ścisnął go tak mocno, że pobiełał mu paznokieć u kciuka.

Nareszcie. Z jej oczu dał się wyczytać ból i nawet trochę strachu. Upewniwszy się z zadowoleniem, że zdoła ją złamać, wyszedł z pokoju i udał się do łazienki w części spa, gdzie zrzucił ubranie, załatwił potrzebę i wszedł pod prysznic. Najpierw namydlił całe ciało, a potem odkręcił wodę tak gorącą, że aż parzyła mu skórę.

Wytarł się i umył zęby. Włożył gąbkę do przygotowanej miski, napełnił ją wodą i dodał żelu pod prysznic. Zabrał wszystko i ruszył z powrotem do pokoju bez okien. Kiedy dotarł na miejsce, odstawił miskę i posługując się pilotem, bezszelestnie zasunął za sobą drzwi. Kobieta patrzyła w milczeniu, jak sięga do miski, wchodzi z kąpiącą gąbką na łóżko i zaczyna ceremonię obmywania. Bardzo go to podniecało, ale dodatkowo pomógł sobie lewą ręką, aż poczuł silne pulsowanie w żyłach.

Kiedy skończył mycie, rzucił gąbkę na podłogę i nachylił się, żeby posmakować swojej nowej ofiary. Jednak cios trafił go, zanim zdążył wysunąć język.

Ból i przeszywający dźwięk, jaki rozbrzmiał mu w prawym uchu, sprawiły, że jego głowa odchyliła się daleko w bok. W ułamku sekundy zdążył nawet pomyśleć, że zaraz odpadnie i potoczy się po podłodze.

Nic z tego nie rozumiał. Jak to się stało? Kto go uderzył? Nie, to było niemożliwe, przecież przypiął ją mocno. Przytknął dłoń do bo-

lącego ucha, pomacał skórę i włosy tuż przy nim. Nie wyczuwał krwi, ale miał wrażenie, jakby rośła mu w głowie jakaś kula.

Dopiero teraz dostrzegł, że jedna ze stalowych lin zwisa luźno nad łóżkiem. Została przecięta. „Ale jak, do diabła...” Nie miała prawa mieć w dłoni obcęgow, a jednak widział je na własne oczy. „Jakim cudem je zdobyła?” – zdążył pomyśleć, zanim się zorientował, że kobieta trzyma w drugiej ręce gumowy młotek. „To moje zabawki?” – zdziwił się. Przebiegł w myślach zawartość szafy, ale zdążył dotrzeć tylko do kolekcji pejczy, kiedy ponownie oberwał w głowę młotkiem. Tym razem tak mocno, że nawet nie poczuł bólu, bo nieprzytomny od razu zważył się na swoją niedoszłą ofiarę.

I

9–15 maja 2012

Paradoks statku Tezeusza

Jak głosi jeden z mitów greckich, ateński heros Tezeusz ocalił siedem dziewcząt i siedmiu młodzieńców wyznaczonych na ofiarę dla Minotaura, potwora o ludzkim ciele i głowie byka, uwięzionego w labiryncie na Krecie. Tezeusz zabił Minotaura. Na pamiątkę jego bohaterskiego czynu zachowano statek, którym powrócił do Aten – jako symbol nieograniczonych możliwości człowieka.

Jednak z upływem lat statek, narażony na działanie wiatru i deszczu, niszczał coraz bardziej. Zdecydowano więc, że zużyte elementy zostaną zastąpione nowymi. Wymieniono zbutwiałe deski i żagle, aż po kolejnych latach i naprawach okręt w całości składał się z nowych części.

Wówczas znalazł się ktoś, kto zadał pytanie: czy to aby na pewno wciąż ten sam statek, którym niegdyś pływał Tezeusz?

Szefowa wydziału kryminalnego helsingborskiej policji Astrid Tu-
vesson pożałowała swojej decyzji zaraz po tym, jak wyszła z domu
i zamknęła drzwi na klucz. Wewnątrz zasłony trzymały w szachu
wiosenne słońce, lecz na dworze światło okazało się o wiele jaskraw-
sze, niż się spodziewała. Obawiała się, że jeśli natychmiast nie znaj-
dzie w torebce okularów przeciwsłonecznych, ból głowy rozsadzi jej
czaszkę. Oczyma wyobraźni widziała już, jak Ingvar Molander i jego
ekipa otaczają teren taśmą policyjną i skrupulatnie zabezpieczają
rozrzucone po okolicy kawałeczki głowy. „Są! Nareszcie...” – pomyś-
lała z ulgą. „Pewnie pęknięte i upačkane brudnymi palcami, ale
chrzanić to”.

„No nie, cholera jasna...” – zakłęta w myślach. Czasem miała na-
prawdę dość samej siebie. Akurat teraz nagle zachciało jej się siku.
Oczywiście nie byłaby sobą, gdyby pomyślała o tym przed wyjściem,
zanim wrzuciła klucze do torebki, a teraz nie znajdzie ich przez go-
dzinę. „Ta pieprzona torba jest skuteczniejsza niż Joe Labero*” – ze-
złościła się. Wiedziała, że nie ma sensu ich szukać. Zniknęły, praw-
dopodobnie na zawsze. Nie namyślając się, zsunęła spodnie i majtki
i przykucnęła w rabatce.

W końcu była w swoim ogrodzie i mogła w nim robić, na co mia-
ła ochotę. A jeśli komuś to się nie podoba, niech wezwie policję.
Zaśmiała się na myśl o radiowozie podjeżdżającym pod jej drzwi
w takiej chwili, a śmiech spowodował, że strumień wydobywający
się spomiędzy jej nóg tryskał rytmicznie, jak w zaawansowanej tech-
nologicznie fontannie.

Nie pojmowała do końca, dlaczego wsiada do samochodu i prze-
kręca kluczyk zamiast zostać w domu, jak wcześniej zaplanowała.
W końcu wzięła tylko trzy dni chorobowego, od poniedziałku, w od-
różnieniu od paru ludzi w jej zespole, którzy w podobnych sytuacjach
woleli się oszczędzać.

* Joe Labero (Lars Bengt Roland Johansson, ur. 1963) – znany szwedzki
iluzjonista. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

W pewnym sensie była to wina tego idioty Gunnara. Gdyby nie on, siedziałaby teraz spokojnie w pracy razem z innymi, a nie leżała w domu i... Huk zginiatanej karoserii sprawił, że zahamowała z szarpnięciem. „Co, do jasnej cholery?” Spojrzała we wsteczne lusterko i stwierdziła ze złością, że to pieprzona skrzynka na listy. Ten idiota uparł się, żeby ją wzmocnić i osadzić na betonowym fundamencie tak wielkim, że cholera bez problemu przetrwałoby trzecią wojnę światową. Skrzynka stała dalej jak gdyby nigdy nic. Astrid wolała nawet nie myśleć, jak wygląda tył jej samochodu.

Podjechała kilka razy przód i w tył, nim zdołała skrócić w Singögan. Znalazłszy się na drodze, wcisnęła gaz, żeby być już jak najdalej, kiedy któryś z sąsiadów wyjdzie się pogapić. „No właśnie” – stwierdziła ze złością, upewniając się w myślach, że wszystko, co jej się w życiu nie układało, było winą idioty Gunnara.

Odbiła w lewo na prowadzący na północ wjazd na drogę E20, wcisnęła zapalniczkę samochodową i wyjęła ostatniego papierosa z paczki wetkniętej do kieszeni na drzwiach. Chwilę później żar rozprzestrzenił się już w pierwszych warstwach tytoniu, a Astrid, włączwszy się do ruchu na autostradzie, jednocześnie nacisnęła na gaz i zaciągnęła się dymem aż do dna płuc.

Jeszcze parę lat temu to ona chciała od niego odejść. To ona trzymała stery i miała go tak serdecznie dość, że na sam jego widok wpadała w podły nastrój. Ale on uczeplił się jej jak rzep i nie pozwolił się porzucić, aż w końcu uśpiona w niej głęboko miłość do niego przerodziła się w czystą odrazę. Astrid miała wrażenie, że ta chora sytuacja zmieniła ją w nienawistnego potwora, i kiedy wreszcie Gunnar zrobił jedyną słuszną rzecz, czyli zdecydował się odejść, nic nie potoczyło się tak, jak by sobie tego życzyła. Absolutnie nic.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, co się dzieje, kiedy coś huknęło. Boczne lusterko po jej stronie zawisło na cieniutkich kabelkach i zaczęło tłuc się o drzwi jak szalony dzięcioł. Potem dostrzegła czerwone bmw, które jechało teraz tuż przed nią. Nacisnęła klakson, lecz auto tylko przyspieszyło i zaczęło się oddalać. „Nie myśl sobie, gnojku, że ci to ujdzie na sucho”. Astrid nacisnęła gaz i po chwili znów siedziała mu na ogonie.

Niczego nie znosiła równie mocno jak nowobogackich niskich facetów w drogich samochodach, a w tym przypadku była przekonana, że ma do czynienia z mężczyzną, w dodatku malutkim pod każdym względem. Wyprzedziła go, wróciła na prawy pas, włączyła światła awaryjne i zwolniła, unosząc pod lusterko wsteczne legitymację policyjną. Nie sądziła, by kierowca bmw zdołał dostrzec dokument, ale nie obchodziło jej to. Ważne, że zaraz mieli się zatrzymać, a wtedy ona wyjaśni mu to i owo.

Lecz zamiast jechać za nią bmw zmieniło pas i jakby nigdy nie pojechało lewą stroną dalej. „Ty sukinsynu!” – wykrzyknęła w myślach Astrid. „To oznacza wojnę!” Opuściła szybę, chwyciła dyndające lusterko i oderwała je jednym szarpnięciem. Jednocześnie wcisnęła pedał gazu aż do brudnej gumowej wycieraczki i podjęła pościg za czerwonym samochodem.

Po minucie osiągnęła prędkość znacznie przekraczającą wszystkie możliwe ograniczenia. Jej toyota corolla trzęsła się i podskakiwała, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie chce w tym uczestniczyć, ale Astrid miała nad nią pełną kontrolę i zaraz po tym, jak minęła zjazd z autostrady Helsingborg Södra, dogoniła bmw i błysnęła mu w lusterka długimi światłami.

Jednak bmw nie miało najmniejszej ochoty się zatrzymać. Przeciwnie, znowu przyspieszyło. Najwyraźniej kierowca nie zdawał sobie sprawy, z kim ma do czynienia. Włożyła prawą dłoń do torebki leżącej na fotelu pasażera. Gdzieś tam tkwiła jej komórka, Astrid była tego pewna. „No proszę, tutaj się schowały” – pomyślała, wymacawszy klucze od domu. Jak zwykle znajdowały się w chwili, kiedy ich nie potrzebowała.

Wygrzebawszy telefon, rzuciła kątem oka na wyświetlacz, żeby znaleźć ikonkę kamery. „Gdzież ona, u diabła, jest? Cholerny sram-sung...” Nie znosiła tego aparatu i wściekała się na wspomnienie wymuszanego sprzedawcy, który paplał w kółko jak papuga, wmawiając jej, że Android jest o niebo lepszy od iOS-a. Astrid w końcu dała się przekonać, żeby gość wreszcie się zamknął. „O, kamera już się włączyła” – stwierdziła z zaskoczeniem. Nie miała pojęcia, jak udało jej się tego dokonać.

Uniosła telefon, żeby skierować obiektyw na uciekające bmw, i zorientowała się, że zjeżdża na pobocze. Krzyknęła i gwałtownie nacisnęła hamulec. Toyota wpadła w poślizg i na ułamek sekundy stanęła bokiem na środku pasa. Astrid otoczyła kakofonia klaksonów naciskanych przez mijające ją samochody osobowe i ciężarówki.

„To koniec” – pomyślała, i była to jedyna rzecz, jaka przyszła jej do głowy w tym momencie. „I bardzo dobrze. I tak jestem tylko żalonną babą z klimakterium. Przynoszę wstyd całej policji”. Mimo to jej ręce nie chciały dać za wygraną. Kręciły kierownicą, kontruując poślizg. Lewa noga automatycznie wcisnęła sprzęgło, a prawa ręka zredukowała bieg. Prawa noga nadepnęła gaz i sekundę później, jak w niemożliwej do powtórzenia w rzeczywistości symulacji komputerowej, Astrid odzyskała kontrolę nad samochodem. Wrzasnęła z radości na cały głos, ale natychmiast zaczęła się uspokajać, powtarzając w kółko, jak mantrę, że nad wszystkim panuje.

Czerwone bmw znajdowało się około pięćdziesięciu metrów przed nią. Nie spuszczać go z oczu, Astrid schyliła się i podniosła komórkę z podłogi, żeby ponowić próbę sfilmowania pościgu. Tymczasem bmw zwolniło i skręciło na pas prowadzący do zjazdu na Elineberg i Råå. „Zaraz cię dopadnę, skurwielu” – mruknęła pod nosem.

Nie wiedziała, czy to dlatego, że jechała tuż za nim, czy z powodu długiej kolejki aut aż do ronda, ale bmw nagle przyspieszyło, wróciło na prawy pas i pojechało dalej autostradą. Kierowca najwyraźniej nie zamierzał zwolnić, chociaż właśnie wjeżdżali do centrum Helsingborga.

Dopiero kiedy znaleźli się na wysokości zjazdu Malmöleden i mijali stary budynek komendy, Astrid odnotowała, że bmw nieco zwolniło, choć zaraz po tym zupełnie zignorowało czerwone światło na skrzyżowaniu z Trädgårdsgatan. Astrid nie zamierzała być gorsza, nacisnęła klakson i przebiła się na drugą stronę. Zaraz po tym usłyszała syreny radiowozu. „Łał...” – zaśmiała się w myślach. „Mundurowi wreszcie się obudzili. Lepiej późno niż wcale”.

Zerknęła we wsteczne lusterko i zobaczyła, że oznakowany radiowóz uczeplił się jej zderzaka. Gestem dłoni pokazała policjantom, żeby się uspokoiili. Ani myślała pozwolić im przyjechać na gotowe

i zagarnąć przedstawienie. Ten dupek był jej i tylko ona miała prawo udzielić mu lekcji.

Wysoka na dwadzieścia centymetrów okrągła fontanna właściwie nie była prawdziwą fontanną. Bardziej przypominała niebieskie frisbee z porozbijanych płytek. Z otworu pośrodku wyciekała woda i spływając licznymi szczelinami, sprawiała, że cała ta instalacja pozostawała mokra. Astrid nigdy jej nie lubiła, a teraz znieubiła ją jeszcze bardziej, bo tuż przed nią bmw gwałtownie skręciło w Hamntorget. Nie pomogło ani szybkie odrzucenie komórki, ani błyskawiczne kontrowanie kierownicą.

Wysokość fontanny oraz jej zaokrąglony kant idealnie zgrały się z prędkością uderzającej w nią corolli. Auto wywróciło się na bok, potem na dach, i ze zgrzytem przejechało po ostrych płytkach, by parę sekund później zatrzymać się na środku ścieżki rowerowej jak gigantyczny i bezbronny żuk. Astrid odpięła pas bezpieczeństwa i wygramoliła się z samochodu.

„Kurwa mać...” Czują w głowie tępe dudnienie, a wzrok... Nie wiedziała, czy widzi podwójnie, czy nie, ale z pewnością z jej oczami coś było nie tak. „Skurwielowi się upiecze” – pomyślała ze złością. Wkurzała ją świadomość, że ten koleś po prostu sobie odjedzie i dalej będzie robił, co mu się podoba. Jakby to wszystko było jakąś cholerną zabawą.

Spojrzała na szybko oddalające się czerwone bmw. Była pewna, że zaraz skręci w prawo w Kungsgatan, potem znów w prawo, a potem jeszcze raz i pojedzie spokojnie z powrotem na autostradę. Jednak auto nie skręciło. Minęło klub nocny, który mieścił się w starym budynku terminala promowego, i pomknęło dalej, prosto na nabrzeże.

„Co on wyprawia?” – zdziwiła się Astrid i puściła się biegiem po bruku za uciekającym samochodem. Wszystko wokół niej wirowało, jakby właśnie trwała noc świętojańska, a ona uczestniczyła w jednej z pijackich zabaw. Kilka razy o mało się nie wywróciła i w końcu dotarło do niej, że uderzyła się w głowę silniej, niż początkowo przypuszczała. Ale to musiało zaczekać.

Z rozmyślań wyrwał ją widok czerwonego bmw przecinającego w poprzek nabrzeże, lecącego kilka metrów nad ziemią i uderzające-

go w tafłę wody. Astrid pędziła dalej, teraz już nie tylko ona. Ludzie zbiegali się z różnych stron i na nabrzeżu szybko uformował się tłumek gapiów. Astrid zatrzymała się parę metrów przed nim, uspokoiła oddech i odkaszlnęła.

– Przepraszam, jestem z policji! – odezwała się najbardziej stanowczym tonem, na jaki w tej chwili mogła się zdobyć. – Musimy odgrodzić ten teren, więc proszę, żebyście się państwo rozstąpili i odsunęli co najmniej na dwadzieścia metrów.

Większość ludzi się odwróciła i spoglądała na nią, nie ruszając się z miejsca.

– Tak, właśnie do państwa mówię! – zawołała nieco głośniej. – No już, proszę się odsunąć! – Rozłożyła ręce, pokazując, co mają zrobić.

Ludzie w końcu się ruszyli i Astrid zobaczyła tył czerwonego bmw tonący z bulgotem w ciemnej wodzie.

– To dotyczy również państwa – wskazała ręką na kilku ociągających się gapiów i sama podeszła na skraj nabrzeża.

Nie mogła dostrzec kierowcy. Wszystko zasłaniały bulgoczące bańki powietrza. Przemknęło jej przez myśl, że powinna wskoczyć do wody, żeby go ratować, ale miała świadomość, że nie starczy jej na to sił. Nigdy nie czuła się zbyt pewnie w wodzie, w dodatku nie miała pojęcia, jak głęboko...

– Astrid Tuveson?

Wzdrygnęła się i odwracając się, o mało nie straciła równowagi.

– Bardzo proszę, żeby pani dmuchnęła w ten ustnik. – Umundurowany policjant podetknął jej pod nos alkomat.

2

Teodor Risk wszedł na ławkę, usiadł na oparciu, rozejrzał się po pustym boisku i wyjął papierosa z paczki, ignorując wiszącą nieopodal tabliczkę informującą o zakazie palenia na terenie szkoły. I choć lubił ciszę, założył na głowę czerwone słuchawki marki Beats, które dostał od ojca w prezencie gwiazdkowym, wyjął z kieszeni komórkę i odszukał album *Ace of Spades* Motörhead. Wiedział, że za parę minut panujący w tym miejscu spokój zostanie zakłócony przez wrzeszczących uczniów i że wśród nich zjawią się jego koledzy, którzy mieli zaraz skończyć dwugodziną lekcję wychowania fizycznego.

On spędził ostatnią godzinę u terapeutki. Na każdym spotkaniu głądziła to samo: jak ważne dla niego jest zawieranie przyjaźni. Żeby stał się częścią jakiejś społeczności, jak ładnie to nazywała. On zaś – również jak zwykle – miał ochotę wyrzygać się jej prosto w twarz. Nienawidził jej skańskiego dialektu. Cholernie go nienawidził. Był to najokropniejszy dialekt ze wszystkich możliwych. Mimo to, jak co tydzień, siedział grzecznie i kiwał głową jak poddana lobotomii marionetka, i pozwalał sobie wciskać te banały.

Jakże ważne było, żeby wreszcie się otworzył i nie odpowiadał tylko na ogólne „Jak się masz?“, ale wyznał, co czuje głęboko w swoim wnętrzu. To było jej ulubione sformułowanie. Głęboko w swoim wnętrzu. „Chodź, zajrzyjmy tam razem” – mawiała czasem tym swoim ohydny skańskim dialektem. Wyciągała przy tym rękę, jakby na serio myślała, że ją za nią chwyci. Przekonywała, że będzie mogła mu pomóc dopiero wtedy, kiedy on udzieli jej zgody na wstęp. Zaciągnął się dymem i pokręcił głową na myśl o tej propozycji. Nie wierzył, że ktokolwiek zdołałby mu pomóc.

Mimo wszystko w pierwszych miesiącach terapii słuchał tej kobiety i był z nią szczery. Opowiadał o tym, co dzieje się w jego życiu i jak się z tym czuje. O relacjach z ojcem, święcie przekonany, że stawia swoje dzieci na pierwszym miejscu, ale i tak nieobecny za każdym razem, kiedy go potrzebowały. O tym, że czuł się zdradzony, kiedy zostawiono go samego w domu na kilka dni. Wciąż go to bolało, jak otwarta rana, ale milczał i sam przed sobą udawał, że nic się nie stało.

Opowiedział jej o panice, jaka go dopadła, kiedy został zamknięty w pomieszczeniu ciasnym jak trumna, i o strachu przed tym, że kiedy skończy się tlen, będzie po wszystkim. *Game over*.

Wyznał jej nawet, że poczuł schizofreniczne rozczarowanie, kiedy się okazało, że jednak przeżyje. Że udręka będzie trwała. Raz zgodził się nawet wziąć ją za rękę i z zamkniętymi oczami prowadził głęboko do swojego wnętrza. Mimo to ona wciąż nadawała w kółko to samo. Jakby miała tylko jedną taśmę.

W końcu uznał, że jedynym wyjściem jest okłamywanie jej. Zaczął więc opowiadać, ilu to ma nowych przyjaciół i że staje się coraz bardziej popularny w towarzystwie. Zmyślał, że czuje powracającą chęć życia, coraz więcej przyjemności sprawia mu nauka i spędzanie czasu z rodziną. Kłamał, że gula w gardle powoli maleje, a on coraz częściej oddycha pełną piersią.

Niestety, najwyraźniej go przejrzała. A przynajmniej to jej zdolne wywołać raka pieprzenie o przyjaciółach obrało nowy tor. Babsko nic nie pojmowało. Wcale nie chodziło o to, że nikt nie chce być jego przyjacielem. To on nie miał ochoty z nikim się zaprzyjaźniać. Wydmuchał chmurę dymu i spojrzał na idiotów, którzy zaczęli wypełniać boisko.

„Debile” – pomyślał ze złością. Każdego miał za żalosego dupka mówiącego kretyńskim dialektem, ale był grzecznym chłopcem i nie tknął żadnego z nich. Nie przekroczył granicy ani razu, choć nieraz czuł, że właśnie na to ma największą ochotę.

Z Aleksandrą z równoległej klasy było inaczej. Różniła się od reszty swojej paczki, nie mówiła po skańsku i nie chichotała po kątach z koleżankami. Kiedy dobrze się zastanowił, dochodził do wniosku, że tylko ona nigdy go nie irytowała. Nikomu o tym nie powiedział, właściwie sam nie był pewien, co to znaczy. Coś jednak musiało być na rzeczy i gdzieś w środku, głęboko w swoim wnętrzu, przeczuwał, że ona ma tak samo. W każdym razie uciekała wzrokiem natychmiast, kiedy na nią spojrzał. I z pewnością zamierzała to zrobić również teraz.

Stała kawałek dalej, przy ścianie wspinaczkowej, w towarzystwie kilku bęcwałów ze swojej klasy. Nie żeby mierzył czas, ale jeszcze

nigdy nie patrzyła na niego równie długo jak teraz. Doświadczenie to było tak intensywne, że musiał ze sobą walczyć, by samemu nie odwrócić wzroku. Co to mogło znaczyć? Zachęte, żeby podszedł i z nią porozmawiał? Wyglądała na zadowoloną. Ale jeśliby się na to zdecydował, co miałby powiedzieć? I jak miałby się zachować w stosunku do jej kumpli?

Czar prysł. Nie dlatego, że Aleksandra spuściła wzrok, ale przez dzwonek telefonu, który uciszył śpiewającego w słuchawkach Lemmy'ego Kilmistera. Teodor nie musiał nawet spoglądać na wyświetlacz, żeby wiedzieć, kto dzwoni. Oczywiście musiał przeszkodzić mu w takiej chwili.

– Siema... – rzucił, siłąc się na neutralny ton, ale sam usłyszał, że w jego głosie pobrzmiwa zdenerwowanie.

– Cześć, Teo, jak się masz? – spytał ojciec.

– W porządku.

– To świetnie. A terapia? Jak dzisiaj poszło?

– Jak zwykle.

– O czym rozmawialiście?

– Ojciec... to sprawy między mną a nią, sam wiesz.

– Zgoda, ale przecież nie jest tak, że nie możesz mi nic powiedzieć. W sensie... jeśli chcesz.

– Ale nie chcę.

– W porządku. No to z innej beczki. Pamiętasz, że mama ma jutro wieczorem wernisaż w centrum Dunker? Chciałem się tylko upewnić, że się tam zjawisz. O szóstej.

– Naprawdę muszę?

– Tak, musisz. Na dodatek chcę jej zrobić niespodziankę w weekend. Pojedziemy całą rodziną do Kopenhagi.

– Że co? To znaczy... ja też muszę?

– Tak, ale zobaczysz, będzie super. Zatrzymamy się w hotelu, pojedziemy do Tivoli i będziemy jedli te ich grillowane kiełbaski.

Teodor nawet nie próbował stłumić ciężkiego westchnienia.

– Wiesz co, ja naprawdę nie mogę. Mam w przyszłym tygodniu trzy sprawdziany i muszę zakuwać – oznajmił w pełni świadomy, że tylko pierwsza połowa drugiego zdania jest prawdą.

Z drugiej strony zdecydowanie wolałby zostać w domu i się uczyć, niż spędzić cały dzień z rodziną.

– Dobra, pomówimy o tym wieczorem. Może będę ci mógł jakoś pomóc. Cieszę się, że wizyta u terapeutki się udała.

Teodor pozwolił, żeby na ten temat w jego imieniu wypowiedziała się cisza, i po jeszcze trzech minutach gadania o niczym wreszcie mógł zakończyć rozmowę i z powrotem dopuścić do głosu Lemmy'ego.

3

Einar Greide pociągnął ostrożny łyk parującego rooibosa, który parzył się w dzbanku już od rana, żeby zyskać wyjątkowy smak, jaki zapewniał tylko „waniliowy Madagaskar” marki Celestial Seasonings. W zakładzie medycyny sądowej w podziemiach helsingborskiego szpitala nadeszła pora na przerwę. I chociaż Greide zwykle był zdania, że przerwa to najbardziej pozbawiona sensu część dnia pracy, tym razem nie miał do roboty nic lepszego, jak tylko zadbać, żeby jego napar smakował doskonale.

Była już środa i na razie tydzień przyniósł jedynie trzy oczywiste przyczyny zgonu. Decyzje o zleceniu obdukcji były dowodem, że lekarze świadomie marnują pieniądze podatników. Mimo to Greide przeprowadził sekcje zgodnie ze sztuką i z typową dla siebie starannością, po czym zamieścił w raportach oczywiste odpowiedzi na wszystkie pytania. Potem zdążył wyczyścić skrzynkę ze starych mejli, posprzątać biuro, a nawet wymienić wiekowe afisze z Woodstock na niedawno kupione z Franzem w Berlinie zdjęcia starych volkswagenów pomalowanych w kwiatki. Teraz zastanawiał się, jak spędzić dwie i pół godziny pozostałe do końca zmiany. Nie wspominając już o dniu jutrzejszym. No i o piątku.

Ostatni przypadek, który wzbudził jego zainteresowanie, trafił się latem 2010 roku. Wkrótce miały minąć dwa lata od tamtego dnia. Nie żeby komuś źle życzył. Wręcz przeciwnie. Po prostu doskwierała mu nuda tak wielka, że aż chorobotwórcza. Czuł się jak człowiek uzależniony od ćwiczeń fizycznych, któremu od pół roku nie wolno się ruszać. Jego mózg zaczynał przypominać kleistą papkę. Jeszcze trochę, a zacznie powoli zanikać. Wtedy, prawie dwa lata temu, pewien szalenienc postanowił sprzątnąć w całości swoją byłą klasę, i Greide zaplótł na głowie tyle warkoczyków – jeden dla każdej ofiary – że na koniec wyglądał jak biały odpowiednik Snoop Doga. Teraz jego włosy były upięte w pozbawiony życia siwy koński ogon. Zaczął się nawet zastanawiać, czy ich nie obciąć.

Jego kolega Arne Gruvesson oczywiście opuścił już pokład. Wymienił nadgodziny na wolne do końca tygodnia. Nie dopił nawet kawy

na przerwie, tylko zmył się, żeby zrobić zakupy na jakąś komunię czy coś innego. „Dzięki, że mnie zastąpisz!” – zawołał jeszcze na korytarzu. Zapewnił też, że gdyby coś się działo, będzie pod telefonem.

Dzwonienie do Arnego było ostatnią rzeczą, jaka przyszłaby do głowy Greidemu, gdyby coś się działo. Nigdy nie zadzwoniłby po pomoc do tego zera. Do dziś nie udało mu się rozwikłać zagadki, jakim cudem Gruvesson został patologiem. Na pierwsze imię powinien mieć Partacz, na drugie Nieudacznik, a na nazwisko Niekompetentny.

Przegapienie szczegółów było u niego regułą, nie wyjątkiem. Zazwyczaj detale te nie zmieniały wiele w całkowitym obrazie przyczyny zgonu. Na szczęście nie trzeba było geniusza, by orzec, że denat pożegnał się z życiem z powodu rozległego urazu czaszki albo brzucha rozprutego w wypadku samochodowym. Zdarzało się jednak, że Gruvesson przegapił coś istotnego. Na przykład wtedy, kiedy uznał jedną z licznych ofiar Torgny’ego Sölmedala za ofiarę kraksy na autostradzie, ponieważ nie podniósł powiek denatki i nie sprawdził, że obie jej źrenice zostały wypalone. Obrażeń tych w żaden sposób nie mógł spowodować wypadek; przeciwnie, to nagła utrata wzroku była przyczyną kraksy i śmierci tej kobiety.

Dzisiaj natomiast przywieziono kolejną ofiarę wypadku. Gość miał za sobą spektakularną ucieczkę samochodem przez centrum Helsingborga, zakończoną na dnie basenu portowego. I zupełnie jakby sam Bóg chciał zrobić Einarowi na złość, zwłoki pirata drogowego wylądowały na stole Arnego, podczas gdy najlepszy z patologów nie miał do roboty nic ciekawszego niż zajmowanie się organizacją przyjęcia z okazji dziewięćdziesiątych czwartych urodzin Gerdy Nilsson, przyjaciółki rodziny.

Ta myśl nie dawała mu spokoju przez całe popołudnie, ale dopiero teraz przybrała na sile i na dobre rozkwitła w jego głowie. „Dlaczego nie?” – zapytał sam siebie w myślach. „W końcu i tak nie mam nic do roboty”. Wypił ostatni łyk rooibosa i wyszedł z pomieszczenia socjalnego, w którym spędzał przerwę.

W protokole sporządzonym przez Arnego znalazł to, czego się spodziewał. Badanie toksykologiczne wykazało 2,75 promila alkoholu we krwi denata, czyli do wypadku przyczyniła się jazda po pijanemu.

Jednak Gruvesson znów poszedł po najmniejszej linii oporu i nie pisząc nic na temat obecności wody w płucach lub jej braku, stwierdził tylko to, co oczywiste – że ofiara utonęła po tym, jak doznała silnego ciosu w momencie uderzenia samochodu o powierzchnię wody, i w chwili utonięcia była nieprzytomna. Wystarczyło spojrzeć na widoczne na zdjęciu głębokie skaleczenia na twarzy denata, żeby się tego domyślić. Prawdopodobnie Arne miał rację, ale skoro Greide i tak się nudził, postanowił przyjrzeć się temu przypadkowi nieco staranniej.

Przeciągnął kartę przez czytnik, otworzył drzwi do prosektorium i zaciągając się głęboko chłodnym i suchym powietrzem, ruszył prosto do chłodni. Otworzył drzwiczki oznaczone przez Arnego karteczką z nazwiskiem „Peter Brise” oraz dzisiejszą datą i od razu zdziwił się na widok podkulonych nóg denata – jakby wciąż siedział za kierownicą. Wyglądało na to, że stężenie pośmiertne jeszcze nie ustąpiło, mimo że zimna woda powinna była złagodzić ten proces.

Dodatkowo uwagę Greidego przykuł fakt, że zwłoki są stosunkowo mało uszkodzone. Z zeznań świadków wynikało, że samochód uderzył o taflę wody z dużą prędkością, lecz na torsie denata nie widniał ślad po pasie bezpieczeństwa, typowy dla ofiar wypadków samochodowych. Zwłaszcza w tych przypadkach, w których z jakiejś przyczyny zawiodła poduszka powietrzna. Wprawdzie Greide nie wiedział, czy otworzyła się w bmw, ale było też jasne, że Gruvesson nie kiwnął palcem, żeby to ustalić.

W odróżnieniu od reszty ciała twarz mężczyzny była poraniona i opuchnięta w takim stopniu, że musiano w inny sposób ustalić jego tożsamość. Zupełnie jakby twarz przyjęła na siebie cały impet zderzenia. Już same te zranienia mogły spowodować utratę świadomości u tego człowieka ważącego nie więcej niż siedemdziesiąt pięć kilogramów. Zgodnie z tym, co napisał Arne w oszczędnym raporcie, rzeczywiście najsilniejsze uderzenie przyjął lewy policzek denata: tuż pod okiem widniała otwarta rana. Mylenie prawej strony z lewą było typowym błędem Gruvessona.

„Chociaż...” – Greide zastanawiał się przez chwilę. „Nie, może jednak nie”. Pochylił się nad raną, żeby lepiej się przyjrzeć. Sprawiała

wrażenie trochę za bardzo czystej, prawie nie było w niej krwi. Ale to można by wytłumaczyć, skoro przez blisko dwie godziny zwłoki znajdowały się pod wodą. Mimo to Greide odkrył ze zdziwieniem, że na dnie rany krew jest zaschnięta.

Sięgnął po skalpel i ostrożnie wsunął go w głęb zranienia. „W istocie” – stwierdził. „To strup. Ale jak to możliwe?” Nie znał odpowiedzi na to pytanie, ale w tej samej chwili, w której je sobie zadał, poczuł przyjemny dreszcz. Miał już w głowie załączek pewnej teorii, ale nim będzie gotów wypowiedzieć ją na głos, musiał przeprowadzić badania. Zaczął podejrzewać, że dziwnie skurczona pozycja denata nie wynikała ze stężenia pośmiertnego.

Czując, jak przyspiesza mu puls, a serce wpompowuje do krwioobiegu adrenalinę, Greide wyjął z kieszonki na piersi kleszczyki hemostatyczne i skierował uwagę na dolną część tułowia mężczyzny, dość wątlą, lecz z cienką warstewką tłuszczu. Skalpel bez trudu rozciął skórę, dotarł aż do tkanki mięśniowej, i po paru ruchach Greide chwycił kleszczykami kawałek tkanki zbliżony wielkością do kostki cukru.

Zaraz po tym, jakby brał udział w wyścigu, popędził prosto do laboratorium, odkroił cieniuteńki jak pergamin plasterek tkanki, położył go na szkiełku, nakrył drugim i włączył mikroskop.

Już po chwili zyskał pewność, że jego podejrzenia były słuszne. Zaschnięta krew, brak urazów na ciele i skulona pozycja zyskały logiczne wyjaśnienie. Greide nie umiał powiedzieć, jak do tego doszło i jak to w ogóle możliwe, ale znalezienie odpowiedzi nie należało do niego. Zanim jednak ogłosi tę szokującą wiadomość, zamierzał otworzyć klatkę piersiową denata i starannie zbadać jego płuca. Nie miał już cienia wątpliwości. Arne Gruvesson dopuścił się kolejnego haniebnego zaniedbania.

„Nareszcie...” Poczł, że spadł mu z barków wielki ciężar. Również kąciki jego ust nagle przestały poddawać się grawitacji. Nareszcie, po blisko dwóch latach mógł zapleść nowy warkoczyk.

Po szalonym pościgu przez centrum Helsingborga jedno z aut wpada do basenu portowego. Wkrótce okazuje się, że kierowca, znany przedsiębiorca w branży IT, był martwy od wielu tygodni, a jego zwłoki zostały zamrożone.

Jest początek maja i od kilku miesięcy w wydziale kryminalnym policji panuje niespotykany spokój. Fabian Risk, podobnie jak jego koledzy, zaczyna się nudzić, choć żaden z nich nie odważyłby się powiedzieć tego na głos. Kiedy więc na biurku ląduje zagadka zamrożonego milionera, wszyscy myślą to samo: nareszcie.

Śledztwo rusza z kopyta. I od razu się gmatwa. Sprawy przybierają tak nieoczekiwany obrót, że Fabian przestaje wierzyć we własny osąd. Ma zarazem świadomość, że jeśli szybko nie znajdzie rozwiązania, w zamrażarce wyląduje kolejna ofiara.

Osiemnaście stopni poniżej zera to mroczny kryminał opowiadający o pościgu za bezwzględnym mordercą. To także trzecia część w serii książek o Fabianie Risku, bohaterze bestsellerowych *Ofiary bez twarzy* i *Dziewiątego grobu*.



cena 39,90 zł

w sprzedaży także



PATRONAT MEDIALNY

www.portal-kryminalny.pl



BOOKLIPS.PL IIII